

Wyprawa na Elbrus

O wyjeździe na Kaukaz myślałem już dosyć poważnie od dłuższego czasu, ale w momencie kiedy Adrian kolega ze studiów zapytał się mnie czy nie mam ochoty wybrać się na Elbrus to bez wahania przyjąłem jego propozycję. I zaczęło się, wielkie plany, kosztorysy itp. chociaż do wakacji było mnóstwo czasu. Poważnym problemem jak okazało się trochę później był ze środkiem transportu. Od początku postawiliśmy na auto, gdyż daje ogromną swobodę w podróżowaniu liczyliśmy się również z tym, że to jednak poważna odległość bo przeszło trzy tysiące kilometrów w jedną stronę.

Jeżeli chodziło o samochód to tutaj pojawiły się koncepcje wykorzystania min. Fiata 125p i Suzuki Maruti. Wybór większością głosów został rozstrzygnięty i padło na Suzuki. Jak widać zbyt wielkiego wyboru to nie mieliśmy, ale było to zadziwiająco trafne rozwiązanie.

Odnosnie kwestii przygotowania się do wyjazdu musiałem się poważnie zastanowić gdyż wcześniej nie byłem na takich wysokościach. Dużo ważnych porad udało mi się uzyskać od pana Marka Hendzelskiego z mojego rodzinnego miasta, który na Kaukazie był już dwa razy była to naprawdę nieoceniona pomoc. Wracając do etapu planowania należy tu podkreślić ważną rolę Adriana, który od początku poważnie się zajął organizacją wyjazdu. Nasze plany były wielkie jak na ludzi będących pierwszy raz na wschodzie. Cel Elbrus jednak jak się dowiedziałem później moja podróż, która mam nadzieje stanowi początek mojej przygody z wysokimi górami przebiegała również przez Krym (oczywiście w drodze powrotnej).

Trzeciego lipca Adrian i Karol przyjechali do mnie około 16.00. Najedzeni, pełni optymizmu i wiary w nasze autko (pamiętam jeszcze śmiech sąsiada) wyruszyliśmy o siedemnastej dziesiątej. Do Hrubieszowa podróż minęła niezwykle szybko musieliśmy się zatrzymać tylko w Radomiu by dokonać pewnych niezbędnych zakupów. Tak bez żadnych problemów, w sielankowej atmosferze podążaliśmy za swoimi marzeniami na wschód.

W Hrubieszowie byliśmy o 23.20. Było już zdecydowanie za późno żeby przekraczać granicę z tego względu, że na Ukrainie są specjalne posterunki na drogach gdzie obcokrajowcy są zmuszeni do zatrzymania. Nakaz ten obowiązuje od 22. 00 do 6.00, a jak się przekonaliśmy później milicja ukraińska to najpoważniejszy problem w poruszaniu się po tym bardzo dziwnym kraju.

Noc była piękna więc nocowaliśmy pod chmurką, nie można powiedzieć tego o poranku, który przywitał nas strasznie paskudną pogodą jednak nie stanowiło to dla nas kłopotu byliśmy zbyt zaabsorbowani przekroczeniem granicy i jak najszybszym przejazdem przez Ukrainę.

Jak do tego miejsca nie napotkaliśmy większych problemów tak tutaj zaczęły one się pojawiać. Polscy pogranicznicy nie robili żadnych problemów mało tego pewien chorąży zaoferował nam pomoc w dogadaniu się ze swoimi ukraińskimi kolegami . Jego pomoc okazała się nieodzowna gdyż nie posiadaliśmy aktu notarialnego na nasze autko po drobnych perypetiach udało się nam przekroczyć granicę. Wiedzieliśmy już, że problemy związane z owym dokumentem będą miały

odzwierciedlenie zarówno w głębi Ukrainy jak i na granicy ukraińsko-rosyjskiej rzeczywiście problemów było co niemiara, skutecznym środkiem na te wszelkie dolegliwości okazała się amerykańska waluta, tu za jej pośrednictwem można załatwić niemalże wszystko.

Podróż przez Ukrainę była czymś nowym dla nas tym bardziej, że jedynie słyszeliśmy różne opowieści o wschodnim sąsiedzie, teraz mogliśmy sami je zweryfikować. Droga ta okazała się niezwykle emocjonującą przygodą pozwoliło to nam spojrzeć zupełnie z innej strony zarówno na samych ludzi jak i na ich obyczaje. Pogoda dopisywała tak samo zresztą jak humor i pewne przeświadczenie, że cel naszej wyprawy jest w zasięgu czekania. Ukraina nie okazała się aż taka zła jedyny problem to jak wcześniej wspomniałem milicja (ci to potrafią utrudnić życie). Parokrotnie mieliśmy możliwość spotkania się z tymi niezbyt przyjaźnie nastawionymi panami, czasami to było zbyt często. Raz zatrzymał nas patrol (nieobeszło się oczywiście bez dolców), ale po dosłownie trzystu metrach zatrzymał nas kolejny patrol, ci goście wydawali nam się podejrzani nie oznakowana łada, wyraźny zapach alkoholu spowodowało, że poczucie niepewności rosło, a sięgnęło zenitu kiedy przystąpili do penetrowania samochodu. Nie zwlekając dłużej Adrian wyjął z magicznej sakiewki dwa dolary i zaczął w sposób niezrozumiały dla mnie negocjować. To były ciężkie negocjacje trwały chyba z godzinę zakończone pomyślnie choć okupione koniakiem, który miał być otwarty po osiągnięciu celu.

W dalszej podróży były również momenty stresogenne z, których można stworzyć całkiem niezłą opowieść o zabarwieniu sensacyjno – przygodowym. Przeszkody w pokonywaniu granic zaczęły się już na granicy polsko – ukraińskiej, ale to co się działo na granicy z Rosją przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Rosyjscy celnicy zażądali czterdziestu dolarów za to, że nie mieliśmy aktu notarialnego. Ta cena powaliła nas z nóg, nasz skromny budżet poważnie na tym ucierpiał.

Podróż przez Rosję mimo zapowiadających się niepowodzeń okazała się całkiem spokojna lecz cały czas staraliśmy się mieć na baczności. Bardzo późnym wieczorem wjechaliśmy do Mineralnych Wód miejscowości uzdrowskiej, i nie mieliśmy okazji w pełni podziwiać wspaniałych widoków kaukaskiego krajobrazu. Przekroczenie granicy z Republiką Kabardyjsko – Bałkarską nie stanowiło większego problemu chociaż znowu niepokój zagościł, patrząc na siatki maskujące na posterunkach i w pełni uzbrojonych żołnierzy, poczuliśmy się jak byśmy wjeżdżali w strefę wojny. Konflikt między Rosją, a Czeczenią jest wciąż żywym tematem będącym dla rdzennej ludności nierzadko bardzo dramatyczny w skutkach. Słyszeliśmy już w Polsce o licznych zamachach ze strony czeczeńskich ekstremistów na władze rosyjskie mające swoje siedziby na zakaukaziu, już wtedy nie napawało nas to optymizmem, ale decyzja to decyzja, a poza tym marzenia ludzkie nie znają granic. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami naszego wyboru skrupulatnie dążyliśmy do osiągnięcia zamierzonego celu. Kaukaz to zupełnie inna kraina niż te, które są dla nas znacznie bardziej znane, tam czas biegnie wolniej, a ludzie pomimo trudnych czasów żyją w sposób nad wyraz spokojny.

Wjeżdżając do doliny Baksan mieliśmy wrażenie jakby przed nami otworzyły się drzwi do zupełnie nowego, nie znanego świata, świata w, którym spełniają się marzenia o przygodzie, o wysokich górach, w końcu to one nas tu przyciągnęły.

Jechaliśmy już przeszło 10 godz. i byliśmy zbyt zmęczeni aby kontynuować, zdecydowaliśmy się więc zatrzymać na najbliższym posterunku milicji, co jak później nie okazało się trafną decyzją. Nocleg przed posterunkiem milicji nie był oazą spokoju. Po krótkiej wymianie zdań milicjant natychmiast kazał nam zjechać na parking przy posterunku, gdzie nastąpiła całkowita rewizja sprzętu przewożonego przez nas. Adrian poszedł z jednym z milicjantów na posterunek załatwić formalności (czyli posmarować), natomiast Karol i ja zajęliśmy się wyjmowaniem rzeczy z samochodu, w pewnym momencie Karol poszedł do Adriana na posterunek tuż zanim szedł milicjant w ostatniej chwili zmienił kierunek swojej trasy, niestety tylko na chwile podszedł do Wołgi i wyjął kałasza i znowu poszedł na posterunek. Stałem jak słup zastanawiając się co oni tam wszyscy robią. No ale nad czym się zastanawiać jak nie wiadomo o co chodzi to chodzi o kasę. Później jeszcze był drobny incydent z wymianą czekana ale zakończony na naszą korzyść, nocleg na milicyjnym parkingu pomimo iż bezpieczny nie okazał się darmowy.

Dolina Baksan 104 km długości piękna kraina świat niezwykle, czuć było już klimaty orientalne. Region zamieszkały jest przez ludność wyznania muzułmańskiego więc nie ma się co dziwić, że jak częstowaliśmy naszych miłych milicjantów wieprzowinką to byli niezwykle sfrustrowani. Tutejsza ludność jest bardzo gościnna i wydaje mi się, że jest tak im bardziej na wschód pomimo nędzy i niespokojnego położenia geopolitycznego potrafią się cieszyć tym co mają i to jest niesłychanie ważne.

Częsty obrazek jaki akurat nasuwa się z tej podróży to krowy – niemalże świętość chodzą po całej drodze i czasami za takim stadkiem trzeba jechać długo bo z wyprzedzeniem są kłopoty. Zjawisko jakie nas zaskoczyło to, że przy niemalże każdym gospodarstwie byli pochowani ludzie, były to rodzinne cmentarze często zaniedbane, zarośnięte jednak z bardzo ładnie zdobionymi pomnikami.

Fascynacja Kaukazem rosła z kilometra na kilometr, a jak zaczynały się nam ukazywać potężne ośnieżone szczyty będące wielkimi posągami postawionymi przez naturę na swoją chwałę, emocje niewiarygodnie szybko się podniosły.

Nasz mały zielony pojazd doczołgał się na wysokość 2353m.n.p. (na tej wysokości znajduje się Azał – baza skąd zaczyna się podejścia na Elbrus.). W azale dowiedzieliśmy się, że musimy się cofnąć do wioski niżej o nazwie Terskol, aby zarejestrować się w bazie tutejszego pogotowia górskiego, ustaliliśmy również, że tutaj się także rozbijemy.

Okres spędzony w Terskole nie poszedł na marne w ciągu trzech dni niepogody zdążyliśmy zaprzyjaźnić się z grupą turystów z Moskwy, poznać zdesperowanych alpinistów z Ukrainy, którzy z powodu burzy i wycieńczenia podjęli słuszną, a zarazem najsmutniejszą decyzję o odwrócie. Góry mają to do siebie iż jednoczą ludzi we wspólnym zamierzeniu, przez nie stajemy się bardziej wartościowi i wiemy, że nasz byt na ziemi składa się z wyzwań, które trzeba podejmować ażeby na starość niczego nie żałować i mieć satysfakcję z przeżytego życia.

Po trzech dniach niepogody znowu wyjrzało słońce, korzystając z okazji postanowiliśmy ruszyć w drogę, na szczyt. Do plecaków poszło to co niezbędne aby wytrzymać te kilka dni w warunkach wysokogórskich, a ponieważ nie chcieliśmy korzystać z żadnego rodzaju wygod więc ograniczyliśmy się do minimum. W azale niespodziewanie spotkaliśmy się z dwoma Polakami

Jackiem i Witkiem. Po krótkiej rozmowie doszliśmy do wniosku, że wspólnymi siłami będziemy wchodzić na szczyt.

W czasie podejścia na Elbrus mija się cztery bazy (schroniska) Azał, Mir, Boćki, Prjut. Do Mira jest poprowadzona kolejka linowa, potem do trzeciego schroniska jest wyciąg krzesełkowy jego cena wynosi ok. 5 dolarów od osoby i tutaj dla ludzi ceniących sobie wygodę jest koniec, bo zaczyna się typowy trekking do obozu, skąd atakuje się szczyt. Za granice wiecznych śniegów przyjmuje się wysokość 3200m.n.p.i rzeczywiście tak jest trzecie schronisko tonie w śniegu cały rok

Od samego początku mieliśmy plan dostać się do czwartego schroniska pierwszego dnia, aby nie stracić zbyt wiele czasu, a przede wszystkim wykorzystać kilka dniu dobrej pogody. Kolejną podjechaliśmy do Mira, a stamtąd zaczęło się mozolne podejście do czwartego schroniska. W boćkach zrobiliśmy przerwę nazwę schronisko nie ma bez powodu gdyż co wygodniejsi wykupują w specjalnych beczkach po paliwie nocleg. Owe beczki przypominają potężne cysterny kolejowe tyle tylko oczywiście bez tego podwozia mogą pomieścić nawet siedem osób.

W tym miejscu rozdzieliliśmy się z nowo poznanymi kolegami jednak tylko na chwilę ponieważ Witek z Jackiem postanowili przespać się na tej wysokości w celu poprawy aklimatyzacji. Nie bez powodu Kaukaz nazywa się małymi Himalajami, a podobieństwo jest coraz bardziej widoczne im stoimy wyżej. W Prjucie byliśmy około 13;00, schronisko to leży na wysokości 4200m.n.p. Owe schronisko kilka lat temu z powodu zaprószenia ognia przez turystę spłonęło, pozostały po nim tylko ruiny i kotłownia, która obecnie służy za schronienie dla wygodnych turystów cena pobytu wynosi 5 dolców za nockę od osoby.

W naszych organizmach nie stwierdziliśmy jakiś niepokojących symptomów związanych z chorobą wysokościową, spowodowało to, że z Adrianem i Karolem postanowiliśmy zakatować szczyt z marszu. Krótki sen i godzina trzecia rano atak. I tak zrobiliśmy nie było to w pełni przemyślane, a efekt tej decyzji był widoczny na wysokości 5100 m. n. p. gdzie doświadczyliśmy załazków choroby wysokościowej. Jednak problem aklimatyzacyjny to tylko jeden z dwóch problemów drugi to nadmiar sprzętu, który wzięliśmy i stąd ludziom udającym się pierwszy raz na Elbrus z góry odradzam brania sprzętu nawet do lotnej asekuracji rozumiem tutaj bezpieczeństwo jednak w tym wypadku zdrowe i racjonalne myślenie jest bardziej wskazane.

Wróciliśmy o 12.00 strasznie odwodnieni jednak nie daliśmy za wygraną. Tego dnia doszedł Jacek i Witek i po kilku godzinkach odpoczynku obmyśliliśmy kolejny plan ataku, tego dnia dołączyli do nas jeszcze dwaj inni Polacy Żaba i Tajson . Plan był taki: Adrian wychodzi jakieś 2 godziny wcześniej, a ja z Witkiem później (ponieważ lepiej znieśliśmy problemy z wysokością), miejsce spotkania - siodło (siedławina) i wspólny atak na szczyt. Pomimo kłopotów na 5100m.n.p byliśmy zdeterminowani i pełni wiary, a to dodaje sił. I tak się stało Adrian wyszedł po 24.00, ale i ten plan nie był zbyt dograny. Adriana spotkaliśmy w nieco niższej niż planowaliśmy okazało się, że choroba wysokościowa nie opuściła go do końca i musiał zejść niżej. Adrian zachował resztki sił aby zejść do Prjuta, a my postanowiliśmy iść w górę. Szczyt Europy nie należy to gór trudnych wręcz przeciwnie wiele osób mówi, że jest to góra spacerowa.. Po części to racja lecz ta owa „górką” ma zasadniczą trudność to wysokość dla wielu

osób atak z marszu, czy nawet tak jak zrobiliśmy to z Witkiem na drugi dzień to nie lada trudność.

Wysokość 5100 m n.p.m. była ostatnio dla mnie poważną barierą jednak teraz nie miałem problemów z niskim ciśnieniem. Będąc przy kwestii niskiego ciśnienia należy zwrócić uwagę, że organizm ludzki bardzo dobrze jest wspomagany w takich wypadkach przez witaminę rozpuszczalną c1000, kawę i polopirynę, to naprawdę sprawdzone środki pozwalające brnąć w górę. Za siodłem czyli przełęczą zaczęła się powolna zniżka formy spowodowana brakiem tlenu. Przyjeliśmy umownie, że co 60 kroków robimy przerwę, i w taki sposób dotarliśmy na szczyt o 10.00. Na szczycie zmęczenie organizmu osiągnęło swoje apogeum, po pamiątkowym zdjęciu ruszyliśmy jak najszybciej na dół.

Droga powrotna była znacznie bardziej emocjonująca niż wejście na szczyt, a to za sprawą pewnego zdarzenia. Czułem się źle więc starałem się zejść jak najszybciej i jak najniżej się da. Ten nadmierny pośpiech spowodował, że zapomniałem o całym świecie. W konsekwencji doprowadziło to do rozdzielenia z Witkiem i zejścia ze szlaku. Nie zwracałem nawet uwagi na obluzowany rak po prostu jakaś siła popychała mnie do tego aby zszedł jak najszybciej obojętnie jaką drogą. I faktycznie wybrałem ścianę zachodniego wierzchołka, lecz nie było to dobre wyjście. Wszystko trwało ułamki sekund, nagle upadłem i zacząłem gwałtownie zjeżdżać w dół na plecach, obróciłem się natychmiast i podręcznikowo zacząłem hamować czekanem. W końcu się zatrzymałem, strach pobudził mnie do podjęcia jakiś kroków zaradczych i pierwsze co to postanowiłem założyć raka, który całkowicie się obluzował. Wiatr coraz bardziej się wzmacniał i przez podmuchy śniegu nie mogłem usłyszeć co mówił do mnie Witek będący jakieś 20 metrów powyżej. Przy próbie poprawienia raka, czekan wysunął się i znowu zacząłem się zsuwać z zawrotną prędkością tym razem znacznie szybciej zareagowałem i cała ta jazda trwała tylko kilka metrów poczym znowu zawisłem na czekaniu. Zdecydowałem przetrawersować do Witka, który znalazł zejście i teraz stał gdzieś 30 metrów w linii prostej ode mnie. Przeżycie to było dość emocjonujące dla młodego podróżnika jakim byłem, a co z tym idzie niedoświadczonego. Ktoś teraz mógłby powiedzieć no ale wcześniej odradzałeś branie sprzętu? Faktycznie ale nikomu nie odradzam zabrania ze sobą głowy tym bardziej jak wybieramy się w góry. Trawers z jednym rakiem zajął jakieś 15 minut i chyba było to najdłuższe 15 minut w moim życiu. Po dojściu musiałem dobre pół godzinki odsapnąć, Witek stwierdził, że cała ta sytuacja wyglądała jak jakaś scenka z filmu niestety dla głównego bohatera to było coś więcej. Jak ochłonałem ruszyliśmy dalej pogoda zaczęła się robić coraz bardziej paskudna, z powodu mgły nie widać było tyczek wytaczających szlak. Jest on oznaczony tyczkami do siodła potem trzeba sobie radzić samemu jednak to nie jest problem, problemem jest ludzka brawura, a połączona z bezmyślnością, doprowadza do sytuacji jaka miała miejsce również wtedy kiedy my byliśmy na Kaukazie. Jeden z polskich turystów (któż by inny) zaginął i go nie odnaleziono. Elbrus pomimo swojej niewielkiej skali trudności powoduje nadmierną komercjalizację, coraz więcej pojawia się ludzi nie mających szacunku do gór, którzy w sposób prosty chcą się popisać.

O godzinie 10.00 dotarliśmy do Prjuta, byliśmy zadowoleni z tak dobrego czasu jak na początek, po debatach typu „jak tam na górze” położyliśmy się spać na kilka godzin. Ponieważ na szczycie nie było jeszcze Adriana najbardziej zawziętego zawodnika z całej tej ekipy powstał kolejny plan. W Prjucie miał zostać tylko jeden namiot, resztę spakowaliśmy i wróciliśmy na dół tyle, że już nie do Terskol tylko do wioski jeszcze niżej położonej o nazwie Elbrus. Następnego dnia na

szlak ruszyła nowa zmiana Adrian, Jaco, Żaba i Tajson, natomiast ja, Karol i Witek zostaliśmy i regenerowaliśmy siły. Nasz sielankowy klimat przerwała wiadomość o problemach z rejestracją gdyż nie załatwiliśmy tego wcześniej groziło nam do zapłaty 1250 rubli od osoby na szczęście to również nam się udało załatwić ale oczywiście nie za darmo jedynie tylko za trochę mniej. Po udanym wejściu Adriana postanowiliśmy jeszcze z dwa dni pobyc na Kaukazie, a następnie ruszyć w stronę Krymu. Byliśmy zadowoleni z takiego stanu rzeczy. Przez kilka minut byliśmy się ludźmi, którzy akurat w jednej krótkiej chwili byli najwyżej w Europie to napawało nas nie lada dumą. Jednak dodając własne przemyślenia Elbrus to taka duża górką składająca się z dwóch wierzchołków, to wygasły wulkan potężny, ale nie za urodziwy, i niestety żadnych ekstremalnych doświadczeń nie można tam doznać. Zaletą tej góry jest za to piękne położenie i wspaniały klimat jaki również tworzą ludzie przyjeżdżający pod dach Europy i jednoczący się we wspólnym celu. Mieliśmy mnóstwo możliwości do spotkań i wymiany zdań, od Polaków, Czechów, Białorusinów przez wesołą ekipę z Łotwy, tak aż do ludzi z Izraela z Singapuru i Nowej Zelandii. Panowała tam świetna atmosfera i pomimo niepokojących spotkań z milicją te wspomnienia i ludzie z tej podróży głęboko pozostaną zakorzenione w mojej pamięci. Emocjonujące jest obcowanie z naturą na tak dużej wysokości jednak nie należy jej lekceważyć.

Po dwóch dniach odpoczynku wyruszyliśmy w drogę powrotną, jechaliśmy w stronę Krymu. Droga powrotna była jakaś przyjemniejsza, mieliśmy jakoś nadzwyczaj mało kontroli milicyjnych. Zatrzymywano nas tylko kiedy przekraczaliśmy dopuszczalną prędkość naszym niewyobrażalnie szybkim „pociskiem”. Dojazd na Kercz gdzie mieliśmy przekroczyć granicę zajął 2 dni. Zastanawiające jest również co stoi w Rosji na piedestałach. Obok wybitnych postaci, które przyczyniły się do tworzenia historii są również niebywałe przedmioty jak czołgi, ciągniki, wagony itp. eksponaty rosyjskiej myśli technicznej.

W Kerczu czułem się jak w jakimś afrykańskim miasteczku portowym, strasznie gorąco, a poza tym mnóstwo ludzi i kilometrowe kolejki do promu. W porcie było mnóstwo porozwieszanych listów gończych i często na tych listach były zdjęcia jakiś delikwentów w mundurach no cóż taki jest wschód, rządzi się często własnymi prawami.

Wreszcie po 2,5 godzinach czekania udało się, wjechaliśmy na prom odprawa po stronie rosyjskiej przebiegła dość sprawnie niestety nie można tego powiedzieć o stronie ukraińskiej no ale to Ukraina. Pogranicznicy znowu pokazali różki, ponieważ musieliśmy oddać dokument pozwalający poruszać się pożyczonym samochodem po Rosji nie mieliśmy znowu żadnego papierka stwierdzającego pochodzenia samochodu, a pismo napisane przez ojczyma Adriana nie było brane pod uwagę. Spór rozwiązały w końcu legitymacje żołnierzy zawodowych, woleliśmy tak naprawdę ich nie używać bo nie wiadomo jaki stosunek na wschodzie jest do wojskowych jednak te legitymacje okazały się cudownym lekiem. Ale pomimo iż uniknęliśmy płacenia kolejnej łapówki to w paszporty wbito nam tranzyt, dano nam po prostu trzy dni na opuszczenie Ukrainy.

Postanowiliśmy nie tracić czasu, Krym jest niesamowity można tam się wspaniale pobawić nie tracąc tyle kasy co na jakieś Grecji czy na południu Włoch. Tym bardziej mieliśmy żal za tą pieczętkę w paszportach. No ale nie ma co się zamartwiać i trzeba korzystać póki można. Pierwszym naszym celem było spotkanie ze znajomymi ze studiów w miejscowości Auszta. Niestety spotkanie nie było dograne gdyż spotkaliśmy jedynie Rafała ze swoją dziewczyną,

reszta ekipy natomiast po ciężkiej upojnej nocy poszła się przewietrzyć na Czatyrdach. Po krótkiej wymianie wrażeń ruszyliśmy dalej, za cel dnia obraliśmy Teodozję słynącą z pięknych złotych plaż. To siedemdziesięć tysięczne miasto, w XIII wieku było faktorią handlową Genui, obecnie znajdują się tam głównie ośrodki przemysłu metalowego i maszynowego. Ale to wcale nie znaczy, że owa miejscowość traci na uroku ze względu na nadmierną industrializację, walory jej szybko zostały uważane. Znajduje się tu uzdrowisko przy słonym jeziorze leczniczym Adżyjul. Nie mieliśmy czasu na zwiedzanie zabytków architektury bizantyjskiej pozwoliliśmy jedynie sobie na kąpiel w trzynastostopniowej wodzie morza Czarnego i na integracji z tamtejszą społecznością.

Kolejny dzień utwierdzał nas w przekonaniu, że na Krym należy wrócić i trochę dłużej tu zabawić. Półwysep krymski słynie ze wspaniałych, a zarazem tanich win (teraz wiecie co mam na myśli pisząc, że to niesamowite miejsce). Powstała nawet niemalże legenda o dwóch takich wybornych trunkach jak Czarny Pułkownik i Czarny Doktor były to wina – wizytówki Krymu. Jak dowiedzieliśmy się później za rządów Gorbaczowa zakazano produkcji tych wysmienitych win (powodu nie znaliśmy) cena za butelkę osiągała nawet 25 dolarów.

Strome skaliste klify schodzące do morza Czarnego to podstawowy krajobraz powodujący niezwykle doznania wizualne, również bardzo ciekawym doznaniem może być podróż po drogach tego malowniczego półwyspu., a to z powodu ukształtowania terenu. Drogi na Krymie są dobrej jakości niestety bardzo wąskie jest to nie lada utrudnienie szczególnie jak z na przeciwka jedzie ciężarówka, jazdę tam można porównać do jazdy na rolercoście, więc jak ktoś ma słabe nerwy to ma poważny problem i lepiej niech sobie poleży na plaży.

Drugiego dnia odwiedziliśmy Jałtę, wspaniałe bardzo piękne i zarazem ciekawie położone miasto na południowych stokach Gór Krymskich. Im więcej widzieliśmy tym większy niedosyt i zdenerwowanie odczuwaliśmy, z braku czasu na dokładniejsze zapoznanie się z tutejszą kulturą. Kilkogodzinny odpoczynek zrobiliśmy sobie w mieście o nazwie Liwadia. Jest ona czterotysięcznym osiedlem uzdrowiskowym, zasłynęła dzięki słynnej konferencji jałtańskiej w 1945, która zdecydowała między innymi o naszej zależności wobec wielkiego brata za Buga. Konferencja ta odbyła się w dawnej rezydencji carskiej, a będącej obecnie sanatorium.

Dzień powolutku się kończył, słońce chowało się powoli za horyzontem, a my mknęliśmy znowu przed siebie zatrzymując się jedynie w co ciekawszych miejscach. Takim miejscem jest Mickiewiczowski Baczysaraj, miejscowość słynąca z pałacu chanów krymskich. Przyjechaliśmy jednak za późno żeby go zwiedzić. Adrian i Karol byli zdecydowani jechać dalej, lecz stanowczo sprzeciwiłem się tej decyzji stwierdzając, że jeżeli pojedziemy to tak naprawdę nic nie wynieśmy z tej eskapady po Krymie. Ponieważ na wyjazd wybrało się trzech podobnie myślących kolesi tak więc z przekonaniem na nocleg w Baczysaraju nie było problemu. Postanowiliśmy wybrać się do pałacu Chanów z samego rana. Jak to w takich podróżach bywa zmiana planów jest nieunikniona, tym razem powodem stała się impreza z grupą polskich studentów z Trójmiasta. Polakom do szczęścia jest niewiele potrzebne, dobre towarzystwo i szaleństwo i dobra zabawa murowana, a jak cała imprezka jest podgrzewana przez wspaniałe (nie tylko bo tanie) krymskie wina to już nic dodać nic ująć. Zabawa po krótkiej konfrontacji z administracją ośrodka przeniosła się do lasu gdzie trwała do wczesnych godzin rannych. Pomimo ciężkiego poranka doprowadziliśmy się do ładu i ruszyliśmy na zwiedzanie wizytówki Baczysaraju.

Pałac Chanów Krymskich jest wspaniałym obiektem i nawet pomimo, że jako wspaniałe dzieło kultury islamskiej było dość często plądrowane to miejsce to jest wciąż warte obejrzenia. Na uwagę zasługuje fontanna łez, jeden z chanów stworzył ów fontannę po śmierci jednej ze swoich żon. Tą wzruszającą historię opisał Puszkina w swoim poemacie „Fontanna łez”.

Siedziba islamskich wodzów była ostatnim etapem tej wspaniałej dwu tygodniowej wyprawy na wschód. 19 lipca byliśmy już w Polsce, wyjazd był dla nas niezwykle przeżyciem spowodował, że na otaczający świat już nie chcieliśmy patrzeć tak jak zawsze czyli z daleka, człowiek po takim wyjeździe zaczyna myśleć iż wszystko jest w zasięgu jego możliwości i tak naprawdę jest. Jedyny problem to czy wejść do małego zielonego autka i ruszyć tam gdzie marzenia się urzeczywistniają? Tam gdzie człowiek zaczyna żyć pełnią życia.

Chiny

Podróż to nie zawsze tylko miłe wspomnienia, czasami po kolejnej wyprawie jesteśmy bogatsi o nowe doświadczenia, wiemy na co uważać kolejnym razem. Poczytajcie wspomnienia z podróży do Chin.

W moich wspomnieniach z tegorocznej wyprawy do Chin i Nepalu pozostały tylko te pozytywne, miłe i ciekawe przygody. Kiedyś jednak usłyszałam, że „należy się zastanowić dokładnie zanim wyruszy się w podróż i nastawić też na jej trudy”, a że starałam się robić notatki, są w nich opisane i te mniej miłe chwile, które mam nadzieję będą ostrzeżeniem dla innych i pomogą w zwiedzaniu najpiękniejszej prowincji Chin (jak piszą w przewodnikach), czyli Yunnanu.

Lotnisko w Kunming, stolicy chińskiej prowincji Yunnan lśni czystością do bólu oczu, podłogi odbijają światło jarzeniówek z sufitów, wszystko pachnie. Wytargaliśmy bagaże i oczywiście żadnej zamówionej z hostelu taksówki nie było. Tak zaczęła się nasza przygoda z taksówkami chińskimi, która trwała przez całą naszą podróż po Chinach, a której do tej pory nie rozumiemy. Była noc i może to sprawiło, że nie było wielu naganiaczy chcących nas zawieźć gdziekolwiek byśmy chcieli. Odbyły się krótkie targi, lecz nie

wiem czy rozmawialiśmy o juanach, czy dolarach. Wtedy miałyśmy tylko te drugie. Pojawiły się liczby 190, 120 i w końcu 90... na nasze „20” (miałyśmy na myśli dolary), panowie dali sobie z nami spokój, poszłyśmy więc na postój taksówek, którego pilnował policjant. Funkcjonariusz bardzo nam pomógł, bo nie dość, że wytłumaczył kierowcy gdzie znajduje się nasz hostel, to jeszcze ustalił cenę przejazdu na 17 dolarów, a już obawiałyśmy się, że nie pojedziemy, bo taksówkarz nie chciał innej waluty niż juany. Miejsce kierowcy w taksówce było odgródzone jakimś rękodziłem w postaci kraty i ścianką z pleksi, trochę to wyglądało jak z filmów o MadMaxie.

Jechałyśmy ponad pół godziny i długo nie było widać oznak miasta, była za to wielopasmowa autostrada, potem oświetlone wieżowce, potem coraz bardziej wąskie ulice i uliczki aż wreszcie wysiadłyśmy naprzeciw jakiegoś domu ze znakami chińskimi. Trochę błądziłyśmy wśród rynsztoków, na szczęście ludzie pokazali właściwe wejście i wtargaliśmy się na trzecie piętro do hostelu Hump, który znajduje się w hutongu i w samym centrum Kunming. W tym hostelu była nasza „baza wypadowa” do miejscowości, które zaplanowałyśmy zobaczyć. Dużą

zaletą była obsługa w recepcji – można było przez tych ludzi zamówić bilety na autobusy międzymiastowe, dowiedzieć się jak dojechać do danych punktów w mieście, a na koniec zamówić przejazd na lotnisko. Oczywiście za usługi pobierano odpowiednią marżę. Pokój dwuosobowy z łazienką kosztował 160 juanów, a jedzenie i picie w hostelowym barze było drogie, ale z drugiej strony to było najbardziej czyste miejsce noclegowe w trakcie całej naszej wyprawy, a potrawy były bardzo smaczne.

Po dniu w Kunming, który nam minął na włóczeniu się po okolicy hostelu, w planach był nocny przejazd do Shangri La, czyli według legend „kraj szczęśliwości”. Przejazd nocnym autobusem – sleeper'em z łózkami jest swego rodzaju przygodą. Bilety kupiono nam w hostelu i dźwigając średnio po 17 kilogramów w plecakach poszłyśmy na postój taksówek, żeby dojechać na dworzec wschodni. I tu niespodzianka! Taksówkarze nie chcieli nas zabrać. Nic nie rozumiejąc pobiegłam po kogoś z obsługi hostelu, żeby się lepiej dogadać z tymi kierowcami. Okazało się, że standardowa cena 40 juanów to za mało i taksówkarz chce 80 juanów. Jak spod ziemi wyskoczyli inni kierowcy, chcący nas podwieźć, jeden na motorze (już widziałam jak spadam z

plecakami na zakręcie ;-)), drugi z prywatnym samochodem i ceną 60 juanów, i z nim pojechaliśmy.

Dotarliśmy na dworzec, a tam harmider, mnóstwo ludzi i cztery wyjścia na stanowiska autobusowe. Miałam szczęście, bo podeszłam do wyjścia, które prowadziło do naszego autokaru, ale jak zrozumiałam po „take minutes” wypowiedzianego przez panią z obsługi, autobusu jeszcze nie było. Po 15 minutach zawołano coś po chińsku przez głośniki, część ludzi poderwała się z ławek i podeszła do „naszego” wyjścia, a my za nimi. Wpakowałyśmy plecaki, dałyśmy bilety kierowcy i zaczęłyśmy szukać swoich łóżek nr 17 i 19, których... nie było. Znów uśmiechnęło się do nas szczęście i pojawiła się Chinka mówiąca po angielsku, która nie dość, że nam załatwiła miejsca (jakoś numery nie były do końca istotne), to jeszcze obok siebie. Łóżka były ustawione w trzech rzędach i były piętrowe. Przydał się mój śpiwór, choć pościel na łózkach leżała. W nocy złapała nas monsunowa ulewa i ranek w Shangri La był pochmurny i deszczowy. Ledwo wyszłyśmy ze stacji autobusowej, już nas obiegli Chińczycy oferujący podwiezienie. Zapłaciłyśmy 40 juanów nie wiedząc, że autobusem przejazd kosztowałby... jednego juana.

W miejscu, w którym chciałyśmy nocować w Shangri La gospodyni знаła jedynie parę słów po angielsku. Na szczęście był

jeszcze chłopak, z którym już dało się dogadać i dowiedzieć o różne sprawy. Na dobry początek dostałyśmy herbatę i pokój na parterze. Niestety z zimną wodą i za brak ciepłej wody po małym targowaniu się miałyśmy dostać dwa śniadania za darmo. Okazało się, że deszcz padał tam przez siedem dni bez przerwy i to spowodowało awarię. Na szczęście około godziny jedenastej deszcz ustał i mogłyśmy wyruszyć na zwiedzanie.

Chciałyśmy dotrzeć do zespołu klasztornego Zhongdian. Zaopatrzone w kartkę z chińskimi znakami zawierającymi nazwę tych klasztorów, poszłyśmy na pobliski przystanek, na którym na szczęście spotkałyśmy grupkę turystów, wśród których była dziewczyna rozumiejąca język chiński. To ona odszyfrowała numer autobusu ze spisu na tablicy. I tak, wśród tubylców o ciemnej, tybetańskiej karnacji i ubranych w tradycyjne stroje, dotarliśmy do dworca, gdzie dowiedziałyśmy się, że do klasztorów jedzie autobus miejski. Pokazywałyśmy kierowcom kartkę z nazwą klasztorów po chińsku i „już” trzecim autobusem dotarliśmy pod kasy biletowe. Bilety tanie nie były, kosztowały 150 juanów, za to miały postać pocztówki ze znaczkiem, ale oczywiście do wysłania na terenie Chin. Do Europy znaczek kosztował znacznie więcej. Od kas do świątyni jest spory kawałek drogi,

ale w cenie biletu wstępu zawiózł nas tam kolejny autobus. Przed kompleksem klasztorów aż usiadłyśmy na chwilę na ławce z wrażenia. Budynki pną się wysoko i są wykończone złoceniami, przypominają do złudzenia Pałac Potala w Lhasie w Tybecie. Prowadzą do nich strome schody - liczne, nie liczyłam ile ich było, ale ta ilość wykazała nasz brak kondycji ☹. Mnisi buddyjscy prowadzą w Zhongdian normalne życie, pracują i modlą się. Są tam sklepiki z manufakturą - koralikami, bransoletkami, wisiorami. Po terenie włączają się miauczące koty i przyjazne psy. A sama świątynia... Okazało się, że czczą w niej boginię Kali, przed której wielkimi figurami ludzie oddają cześć i pokłony. Na ścianach namalowano obrazy m.in. przedstawiające różne postaci tej bogini, z sufitów zwisają girlandy różnokolorowych, wyszywanych pasków materiałów. Robi to wszystko duże wrażenie, a zarazem jest się jakby w jakiejś nierzeczywistości.

Zwiedzałyśmy Zhongdian trzy godziny. W powrotnej drodze z autobusu wysiadłyśmy prawie dobrze, ale dzięki małemu pobłędzeniu trafiłyśmy na przyuliczną garkuchnię, w której zjadłyśmy pałeczkami zupę i zostaliśmy poczęstowane przez siedzących tam mnichów pierożkami.

W uliczce, w której był nasz hostelik znaleźliśmy biuro podróży, w którym zdecydowaliśmy się wykupić wycieczkę do Parku Narodowego Balagezong za około 250 juanów, a potem poszliśmy zwiedzać stare miasto. Miejsce to w styczniu 2014 uległo spaleniu, ale jak głoszą plotki, rząd chiński zapłacił za jego odbudowę i rzeczywiście bardzo już dużo domów jest odbudowanych w pięknym stylu – odtworzono rzeźbienia i ozdoby, i tylko jasny kolor świeżego drewna wskazuje na nowość budynków.

Nasze zwiedzanie przerwał monsun, w szybkim tempie potworzyły się strumienie i żółte kałuże, więc znaleźliśmy ratunek w miłej knajpce, gdzie półtora godziny spędziłyśmy przy piwie, orzeszkach i zielonych plackach smakiem przypominających nasze biszkopty. Wieczorem przy okrągłych stołach z zamontowanymi gazowymi palnikami zaczęły się gromadzić rodziny. W wokach gotowali na kolację potrawy – zupę lub gulasz, dorzucając makaron czy warzywa.

Następnego dnia pojechaliśmy na wycieczkę ②. Jechaliśmy ponad godzinę przez zamglone góry Hengduan, potężne, sięgające i 4 tysiące metrów n.p.m. Dotarliśmy pod Grand Hotel i stamtąd już z przewodniczką pojechaliśmy dalej. Miałyśmy informacje, że Chińczycy na wycieczkach dobrze się bawią i rzeczywiście, to się

sprawdziło – opowiadali żarty, klaskali, śpiewali całkiem ładne piosenki. Wjechaliśmy jeszcze wyżej, do tybetańskiej wioski Bali, która podobno została przeniesiona z Tybetu. Widoki na Góry Śnieżne (Snow Mountain) były stamtąd przepiękne, mała stupa otoczona chorągiewkami modlitewnymi również robiła duże wrażenie, lecz nie jestem pewna czy proste, prostokątne i bez żadnych ozdób murowane domy faktycznie były w stylu tybetańskim.

Potem zjechaliśmy i przeszliśmy trzy kilometry pomostem przyczepionym do stromej, często pionowej skały nad zieloną rzeką, wzdłuż Wielkiego Kanionu. Był wspaniały, słoneczny dzień i było nam bardzo dobrze, aż doszliśmy do pontonów i tam popsuły nam się humory, bo okazało się, że za przepłynięcie z powrotem do miejsca postoju autokaru należy wykupić dodatkowe bilety za 120 juanów, o których nam w biurze nie powiedziano. Rejs trwał ze 20 minut i dla mnie był przyjemny, coś jakby spływ naszym Dunajcem, ale cena za tą przyjemność była nieadekwatna. W programie była jeszcze wspinaczka na punkt widokowy i nastąpił koniec wycieczki... a w biurze mówiono o lunchu! Na dodatek wróciliśmy dwie godziny wcześniej niż nam to zapowiadano... Po prostu zrobiliśmy awanturę w biurze. Na przeprosiny dostałyśmy modlitewne koraliki w złotych woreczkach.

Wieczorem nie było deszczu i to pozwoliło nam na dotarcie do świątyni Guishan Si i największego na świecie młynka modlitewnego, który ma 15 metrów wysokości i znajduje się na wzgórzu (prowadzą tam liczne schody, a jakże), skąd rozpościera się widok na dachy domów starej części Shangri La. Na dole, na placu można było sobie zrobić zdjęcie z mastifem tybetańskim, z białym jakiem lub spróbować szaszłyków z mięsa jaka.

Zmęczone zasiadłyśmy w małej restauracyjce, w której potrawy gotowano na ognisku i przez to dymu było wewnątrz pełno. Znalazłyśmy więc stolik na zewnątrz i zamówiłyśmy ryż z kurczakiem słodko-kwaśnym. Tam też zapoznaliśmy miłą parę Chińczyków. Mężczyzna pokazywał zdjęcia ze swojej wyprawy po Tybecie, a dziewczyna narysowała ołówkiem nasze portrety, które nam podarowała. Wymieniliśmy się adresami na facebooku, ponieważ okazało się, że mimo rządowej blokady, nasi nowi znajomi potrafili ją jakoś ominąć.

Pożegnanie z naszą gospodynią w hostelu było chłodne, gdyż mimo, że tak jak się umówiliśmy nie wzięła pieniędzy za śniadania, policzyła za każdy kubek herbaty po 20 juanów! I gdzie „prawda” z tych opowieści, że w Chinach częstują herbatą za darmo?

Gruzja

Poranek był bardzo obiecujący. Na niebie co prawda było sporo chmur, ale między nimi przebijało się słońce. Byliśmy już mocno podekscytowani i roznosiła nas energia aby wsiąść w końcu na rowery i ruszyć. Rano zebraliśmy się dość sprawnie, spakowaliśmy, dosiedliśmy naszych dwukołowych rumaków i tak rozpoczęliśmy naszą przygodę ku nieznanemu.

JeszczeSwenetia tylko zakupy: woda i chleb w Mestii i dość przyzwoitą, betonową drogą ruszyliśmy w głąb Swenetii. Oczywiście od razu pod dość stromą górkę, która była jak by prorocza co do dalszej naszej podróży. Przy wyjeździe z Mestii przywitaliśmy się z miejscową policją, która bacznie pilnuje w tym rejonie porządku, alepolicja lubi zagadać jednocześnie jest bardzo miła i pomocna dla turystów. Szosa prowadziła głęboką i szeroką doliną, na zboczach której co jakiś czas z wysokich traw wystawały szare domki, z ciemnymi wysokimi wieżami. W końcu droga ostro skręciła w prawo i zaczęła wic się serpentynami ostro w górę. Był to dla nas pierwszy sprawdzian ostrego podjazdu.

Nasz trud i wysiłek zostały wynagrodzone ładnym widokiem z Przełęczy Ughviri (1923 m n.p.m.).

Po przełęcz Ughviri - zaliczona w kompleciekolei wdrapywaliśmy się na przełęcz. Dookoła wysokie, ale niezbyt strome zbocza porośnięte ciemnozielonym lasem. Niestety widok trochę psuły słupy wysokiego napięcia. Akurat jak odpoczywaliśmy podjechała grupka motocyklistów. Skąd? oczywiście z Polski. gdyby nie te słupyTu Niestety kończy się betonowa droga i zaczyna gruntowa, rozjechana droga, wysypana mniejszymi i większymi kamieniami. Te kamienie będą nam jeszcze utrudniać jazdę wiele razy.

Ponownie krętą drogą tym razem w dół ruszyliśmy na podbój maleńkich wiosek schowanych w dolinkach. A widoki były wspaniałe. Sielskie domki porozrzucane po okolicznych zboczach, na tle wysokich szczytów. Biegające po drodze kurki i świnki. Gdzieniedzie zza sztachet płotu wystające i przypatrujące się nam małe dziecięce główki. Niestety droga cały czas dawała nam się we znaki. Niby z górki, ale nasza prędkość nie przekraczała 5-10 km/h. Cały czas trzeba było uważać na kamienie szczególnie te ostre. Niestety na jednym ze zjazdów pierwsza guma na trasie. Szybka zmiana i dalej w drogę. Gdy tak staliśmy i naprawialiśmy koło, każdy samochód który koło nas przejeżdżał z miejscowymi, zatrzymywał się i pytał czy mogą w czymś pomóc. Na szczęście sami szybko byliśmy w stanie ogarnąć problem. Minęliśmy kilka wiosek, wyglądających na mało odwiedzane przez ludzi z zewnątrz, a na pewno jeszcze rzadziej na rowerach.

Nad nami lekko świeciło słońce, miło grzejąc nas w plecy. Mimo to co jakiś czas kropiło. Na szczęście na tyle słabo abyśmy nie musieli się zatrzymywać. Był jednak jeden wyjątek. Byliśmy na polanie gdy nagle deszcz zaczął mocno padać. W oddali zobaczyliśmy stojący samotnie pusty samochód. Stary radziecki Ułaz. Krzysiek z Szymonem szybko go dopadli i weszli do środka chowając się przed ulewą. Niestety dla reszty nie starczyło miejsca. Na szczęście za chwilę wszyscy staliśmy pod plandeką, którą wieźliśmy między innymi w tym celu. Staliśmy tak i obserwowaliśmy jak krople deszczu spływają z naszej plandeki wprost do kałuży pod naszymi

nogami. Deszcz nie trwał długo i wkrótce mogliśmy jechać dalej, gdy nagle i całkowicie niespodziewanie z pobliskich krzaków wyskoczyło trzech tubylców. Domyśleliśmy się, że to właściciele samochodu, którego użyliśmy jako schronienie. Awantura wisiała w powietrzu.

Szli szybkim krokiem w naszą stronę. Rozejrzeli się po naszej grupie i spytali całkiem spokojnie i stanowczo:

– otkuda wy priechali?

– z Polski, z Polszu – ktoś szybko odpowiedział,

i wtedy padło po raz pierwszy to magiczne zdanie

– Czaczu chcą?

W pierwszej chwili byliśmy trochę oszołomieni. Co chyba było widać na naszych twarzach. Gruzini od razu się rozweselili, co i na nas się przeniosło.

Wytłumaczyli nam, że jak się spotyka Gruzin z Polakiem (tak naprawdę z każdym) to trzeba wznieść toast. Zaraz jeden z nich poszedł szybko w krzaki skąd przyniósł bańkę z gruzińskim bimbrem – słynną Czaczę.

... odpoczynek Oczywiście nie zabrakło zagryzki w postaci gruzińskiego słonego sera, chleba i pomidorów. Brak szklanek szybko został rozwiązany przez jednego z nich. Obciął dno butelki plastikowej i mieliśmy puchar przechodni. Czacza - to mówi wszystko Towarzystwo szybko się rozluźniło. Mimo namów Gruzinów i wzniosłych toastów za Polskę, Gruzję i wszelkie inne okazje, musieliśmy ograniczyć się do kilku łyków bo czekała nas dalsza droga na rowerach. Chociaż Gruzini śmiali się, że tu nam po pijaku nic nie grozi bo policja tu nie zagląda. Dla własnego bezpieczeństwa woleliśmy tego nie sprawdzać. Te proste i podane w jakże pierwotnej formie danie, było dla nas po wysiłku wielkim lokalnym rarytasem. A Czacza – jak to Czacza, mocna. Niestety czas jechać dalej. Na pożegnanie jeszcze kilka fotek z naszymi gospodarzami i pedałujemy dalej. Po deszczu druga stała się grząska. Przestaliśmy już zważać na mniejsze kałuże. I tak rowery i nasze nogi były brudne od błota.

Mała wioska Kala, gdzie rzeka robi zawijas, a na wysokiej prawie pionowej ścianie nad wodą stoi kilka rozpadających się domów, przywitała nas piękną tęczą rozpiętą nad naszą drogą. Jak by na nasze powitanie. Na końcu wioski wysoko na ścianie ponad drogą zobaczyliśmy obrys dużej kaplicy z XI w poświęconej Św. Kwirykowi – lokalnemu patronowi.

Niestety mimo, że wydawała się na koń - najlepszy środek transportu wyciągnięcie ręki, nie podjęliśmy się wspinaczki na górę. Kolejny podjazd pod strome zbocze, wijącą się serpentyną. Duże zmęczenie rekompensuje nam widok nas wspinających się drogą niczym małych paciorków nanizanych jak koraliki na sznurze naszyjnika.

Robi się późno, zmęczenie daje nam się we znaki. Zaczynamy coraz częściej myśleć o końcu dzisiejszej trasy. Już po wjechaniu na szczyt serpentyny mieliśmy nadzieję zobaczyć domy Ushguli. Agnieszka, która wjechała jako pierwsza, ku naszej radości zawołała „już widać dachy„.

bloto, ale w jakich okolicznościach przyrody. Niestety, to były dachy jednego opuszczonego domu. Przed nami szeroka dolina ciągnąca się na wschód. Minęło nas stado krów, kilku jeźdźców na koniach, a wsi jak nie widać, tak nie widać. Słońce zaczęło już nabierać pomarańczowego koloru. Gdy nagle zza pagórka jadący na czele Michał zauważył piękny widok domostw. Za chwilę kolejne zagrody z słynnymi charakterystycznymi wieżami. Szybko rozeszła się wieść o celu podróży. Nagle wszyscy dostali dodatkowej energii i po chwili staliśmy na zakręcie drogi, z otwartymi ustami z wrażenia podziwialiśmy widok.

Przed nami rozciągał się piękny widok na jak to mówią Gruzini najwyżej położoną stale zamieszkałą osadę w Europie – Ushguli (gruz. უშგული, pol. Uszguli). Jednak pamiętajmy, że tak naprawdę to Gruzja nie leży w Europie.

Widok jak z "widzę dachy" obrazka, na pierwszym planie na oświetlonej słońce łące pasły się stada krów i koni. U wejścia do doliny szaro-brązowe wieże i otaczające domostwa mury z kamieni, wyraźnie wskazywały obronny charakter tych budowli. Dalej ciemne zbocza gór Sweneckich i za nimi ośnieżone, surowe szczyty Kaukazu. Cała wioska jest objęta ochroną światowego dziedzictwa UNESCO. Ze względu na trudny dostęp do tych terenów, zachowało się bardzo dużo wież, które w końcu u celu przeszłości stanowiły magazyny domowe, a w sytuacjach zagrożenia jako schronienie dla rodzin, je zamieszkujących. Te zagrożenia pojawiały się dość często szczególnie na gruncie lokalnym, z powodu rozliczeń między rodzinami.

Tego dnia mimo, że odległość nie była duża dała nam się we znaki wysokość. Łącznie 1325 m w pionie w górę, po trudnej kamienistej drodze. Byliśmy zmęczeni i brudni. Przy stromym podejściu, zaraz za mostkiem na rzece znaleźliśmy pole namiotowe. Nasze pierwsze rozbijanie obozu poszło dość sprawnie. już blisko. Dłużej poszło nam z kąpielą, gdyż jedyna łazienka była na zapleczu kuchni i musieliśmy czekać w kolejce jeden za drugim. Wieczorem zostało już nam tylko posiedzieć przy ciepłym gruzińskim jedzonku i piwku z pięknym widokiem na zachodzące słońce za szczyty pobliskich cztero i pięcio tysięczników z najwyższym szczytem Gruzji – Shkhara (5203 m n.p.m.) w tle. U podnóża których cicho zapadł mrok na wiosce wraz ze stojącym na uboczu klasztorem.

Całą noc padało. Niestety rano pogoda bez zmian. Szaro, pochmurno i pada. Na szczęście namioty Jack Wolskin jakie mieliśmy dobrze chroniły nas od deszczu i zimna. Nikt nie ma ochoty wstawać o ustalonej godzinie. Pogoda wprowadziła nas w kiepski nastrój. Powoli zaczęliśmy się wyłaniać z namiotów, okuci w kurtki i ciepłe bluzy. Głównie po to aby zrobić siusiu i rozeznac się w sytuacji.

Usialiśmy z kawą pod daszkiem, z którego leciały stróżki deszczu. Przed nami piękny wręcz pocztówkowy widok. Lekko w dole widać wioskę Ushguli z starą zabudową i słynnymi wieżami kamiennymi. Wieże na tle gór i całej wioski prezentują się wspaniale. Mała wioska oblepiona brunatno-żółtymi budynkami głównie z kamienia, którego jest tu pod dostatkiem. Nawet dachy wykonane były z łupków. Niestety co jakiś czas wśród tych naturalnych budynków wystaje blacha falista pokrywająca dachy nowych, nowych do reszty domów. Dookoła na pobliskich zboczach małe poletka z wszystkim co może się przydać, aby przeżyć w tym odciętym od świata miejscu. Przez około sześć miesięcy w roku Ushguli jest odcięte od świata grubą warstwą śniegu. Poletka, poodgradzane płotkami z krzywych sztachet. Gdy zbocza stają się stromsze i gdzie

trudno jest już wybierać spadające z gór kamienie zaczynają się zielone pastwiska, a na nich krowy, konie. Zbocza ostro i pionowo pną się do góry. W połowie ich wysokości leniwie przesuwają się chmury, gdzieś tam można dostrzec małe stadka owiec. Co jakiś czas zza chmur wyłania się grzbietu zbocza. Ciemny, dziki ale nie kamienisty. Zielony, porośnięty trawą. Aż by się chciało tam wejść. W lewo na zachód dolina, którą wczoraj przyjechaliśmy ostro opada w dół dzięki temu można z daleka obserwować jak wijącą się drogą wśród zielonych łąk wspina się mała sylwetka samochodu lub wędruje stado krów. Dzięki temu położeniu i naturalnym elementom obronnym przez wieki Swanowie z Ushguli nie dali się podbić obcym armiom ani też uczynić poddanymi tutejszych panów.

Na wschód na tle niewielkiego kamiennego kościoła „Lamaria”, za pokrytym chmurami niebem co jakiś czas wyłania się ciemna sylwetka najwyższego szczytu Gruzji i trzeciego najwyższego na Kaukazie – Shkhara – 5203 m n.p.m. – pokryta śniegiem. Około jedenastej deszcz zelżał, byliśmy już mocno znużeni siedzeniem i czekaniem. Ubraliśmy się przeciwdeszczowo i ruszyliśmy obejrzeć Ushgili a w szczególności leżącą na przeciwnym zboczu małą kamienną cerkiew Lamaria (pw. Marii Dziewicy). Cerkiew położona jest w pięknym miejscu, na niewielkim wzniesieniu, otoczona cmentarzem, na którym pochowani są miejscowi Swanowie. W oczy rzuciły się nam od razu duże nietypowe tablice nagrobkowe z wyrytymi postaciami osób tam pochowanych. Sama cerkiew jest otwarta dla zwiedzających, dość mała i mroczna. Jednak na jej górnych piętrach przygotowano pokoje gościnne, co nie bardzo komponowało się z atmosferą tego miejsca